Nr. 2 | Należyt. pöczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 16 stycznia 1930 | Rok 52

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł. 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	15		15	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15	■	■	15				
Bataljony						■	10					
Dzikie kaczory						■	10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.



MAGAZYN I PRACOWNIA BRONI

ST. KOPCZYŃSKI

we Lwowie, plac Bernardyński 3

Telefon 59 - 34

Naprawę broni uskutecznia szybko i tanio

Sprzedaż materjałów wybuchowych Państw. Wytwórni na Woj. Lwowskie, Stanisławowskie i Tarnopolskie

NOWOŚĆ! **NOWOŚĆ!**

„SŁONKA"

KAZIMIERZA hr. WODZICKIEGO

Monografja, drukowana niegdyś w „Łowcu", nigdy dotąd nie wydana osobno, ukazała się obecnie w nakładzie M. T. Ł., jako ostatni, t. j. dziesiąty, z słynnych **„Zapisków ornitologicznych"**. — Do nabycia **w biurze M. T. Ł., Ossolińskich 11, III p.** po cenie tylko zł 2·50, z przesyłką poleconą zł 3·20 **póki zapas starczy.** — Cena księgarska będzie o wiele wyższa.

WINA, WÓDKI i LIKIERY NA POLOWANIA

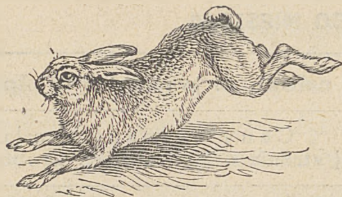
poleca

EDMUND RIEDL **HANDEL HERBATY, KAWY i WINA**
LWÓW, UL. RUTOWSKIEGO 3. Tel. 4-12

Dla odświeżenia krwi

żywe zające, tak polne jak i leśne, kuropatwy, bażanty, sarny, jelenie

oraz inną zwierzynę, łowioną na wolnych terenach we Węgrzech, Czechosłowacji, Jugosławji, Austrji, najlepszej jakości i nadającej się świetnie dla hodowli oraz odświeżenia krwi oferuje firma



R. NERLICH, Bielsko — Śląsk

Posyłajcie eksponaty i odwiedzajcie

MIĘDZYNARODOWĄ WYSTAWĘ ŁOWIECKĄ W LIPSKU 1930

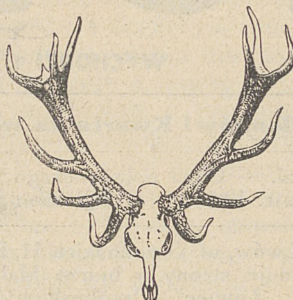
(Internationale Jagdausstellung Leipzig 1930)

(koniec maja do września)

w ramach

Międzynarodowej Wystawy Futer I P A

(IPA Internationale Pelzfachausstellung)



Bliższe informacje otrzymacie w Waszym Związku Łow. oraz w biurze

IPA Abt. Jagd. Leipzig C. 1. Brühl 70 (Niemcy).

MARJAN KAFKA i ALBERT SZKOWRON

LWÓW, KOPERNIKA 3 **LWÓW, KOPERNIKA 3**

Handel towarów kolonjalnych, win, delikatesów etc. połączony z pokojami do śniadań i restauracją poleca dla P. T. Panów Myśliwych różnorodne konserwy mięsne i rybne — wina — wódki — likiery etc. po możliwie najniższych cenach — kupuje zaś wszelką dziczyznę po najwyższych cenach rynkowych

ŻYWĄ ZWIERZYNĘ

DLA ODŚWIEŻENIA KRWI

sprzedaje

Małopolska Hodowla Zwierzyny w Łukawicy

poczta STRYJ **Żądać cenników**

SKÓRY SUROWE

z lisów, kun, tchórzy, wyder i zajęcy

kupuje, **przyjmuje do wyprawy** oraz wykonuje wszelkie **FUTRA**

MAGAZYN I PRACOWNIA FUTER

Karola Schürera **Lwów, Senatorska 10** (boczna Romanowicza) **Tel. 69-56**

GENERAŁ ROZWADOWSKI

Dzieło poświęcone pamięci ś. p. Generała, wydane przez Grono Jego przyjaciół i wielbicieli w przepięknej amarantowo białej oprawie, jest do nabycie w biurze M. T. Ł., ul. Ossolińskich 11 po niskiej cenie zł 13·10, z poleconą przesyłką pocztową w kwocie zł 14·30 zaś za zaliczką w kwocie zł 15·10. — Ś. p. Generałowi poświęcony został w tem dziele też rozdział osobny jako myśliwemu, który opracował redaktor „Łowca". — Wobec szczupłego zapasu dzieł, jakim rozporządzamy, prosimy o rychłe zamówienia

Do nabycia w Biurze M. T. Ł.

Lwów, ul. Ossolińskich 3, III p.

Ansion Kazimierz: Dziennik myśliwski . . . zł. 3·60
Ejsmond Juljan: Kalendarz myśliwski na 1929 r. „ 4·—
Kobylański J. Wł.: Humor i łacina myśliwska „ 1·50
— O dawnych i obecnym zwierzyńcu w Krakowie 1·50
— Jak powstał w odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie . . . „ 3·—
Krogulski Seweryn: Pół Wieku . . . . . „ 3·—
Mniszek Albert: Jarząbek . . . . „ 3·—
Orski St. W.: A było to wczas rano . . . „ 6·—
Sztolcman Jan: Żubr . . . . „ 3·30
Sztolcman Jan: Nad Nilem niebieskim . . . „ 6·—
— Jak unikać wypadków z bronią . . . „ 0·25
Ustawa Łowiecka . . . . „ 0·80
Wodzicki hr. Kazimierz: Wspomnienia z życia łowieckiego . . . . „ 3·50
Ziembicki Witołd: Jan Sobieski jako myśliwy „ 1·80
— Bibljografja prac K. hr. Wodzickiego . „ 1·50

z doliczeniem opakowania i porta

SPRZEDAM bardzo dobrego dzikarza i ostrego dobermana. — Psa na dziki dam na próbę za gwarancją. Oglądać można u podpisanego. — **Jerzy Juliusz Hach**, nadleśniczy, **Kropiwnik Stary**, poczta Schodnica.

TREŚĆ NUMERU 2:

Nr. 2 We Lwowie, 16 stycznia 1930 Rok 52



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Międzynarodowa Wystawa Łowiecka 1930 w Lipsku

Jako wybrany przez Wydział M. T. Ł. delegat do Komitetu Wystawowego w Warszawie, podaję Małop. Myśliwym poniżej umieszczone pismo do wiadomości. Sprawa obesłania Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej w Lipsku przez Polskę, jest rzeczą ważną i aktualną. Upraszam Ich o niezwłoczne uwiadomienie mnie w celu, narazie, informacyjnym, w jakim stopniu (ilość, jakość eksponatów) zechcieliby w niem wziąć udział.

Albert Mniszek

Red. „Łowca", Ossolińskich 11

Do Wydziału M. T. Ł.

Na skutek nadesłania Wydziałowi Wykonawczemu Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich przez Wielkopolski Związek Myśliwych korespondencji z Reichsjagdbundem i Internationale Pelzfach-Ausstellung mit Internationaler Jagdausstellung w Lipsku, dotyczącej zaproszenia polskiego świata łowieckiego do wzięcia udziału w Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Lipsku, która odbędzie się w czasie od maja do września 1930 r. Wydział Wykonawczy odniósł się do Ministerjów Rolnictwa i Spraw Zagranicznych z prośbą o wypowiedzenie się w tym względzie.

Ministerja te nadesłały odpowiedź pozytywną, a nawet udział łowiectwa polskiego w pomienionej Wystawie uważają za bardzo pożądany i przyrzekają poparcie.

Uwiadomiony przez Ministerjum Spraw Zagranicznych Konsulat Rzeczypospolitej w Lipsku zwrócił się do Wydziału Wykonawczego z prośbą o powiadomienie o decyzji Związku.

Doceniając ważność sprawy, Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, na posiedzeniu swem w dniu 11 grudnia 1929 r., postanowił powołać do życia specjalny Komitet dla przeprowadzenia organizacji wysyłki najcelniejszych eksponatów łowieckich z całej Polski i urządzenia pawilonu polskiego na Wystawie w Lipsku.

W skład Komitetu wejść mają przedstawiciele: Wydziału Wykonawczego Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, Wielkopolskiego Związku Myśliwych, Towarzystwa Łowieckiego Województwa Wileńskiego i Łuckiego Towarzystwa Myśliwskiego.

Prosimy niniejszem WPanów o łaskawe i możliwe rychłe dokonanie wyboru Swego przedstawiciela i o powiadomienie nas o tem do połowy stycznia roku 1930 najdalej.

W drugiej połowie stycznia pragnęlibyśmy zwołać specjalne posiedzenie wspomnianego Komitetu w Warszawie. Do tego jednak terminu przedstawiciel Towarzystwa WPanów winien zebrać dokładny materjał, a więc spis wystawców i eksponatów z całego obszaru działalności Towarzystwa i przedłożyć go już w ostatecznej i zdecydowanej formie na posiedzeniu Komitetu dla zgłoszenia w Dyrekcji I. P. A.

Rząd Rzeszy zapewnił bezpłatne miejsce w pawilonie łowieckim Wystawy oraz darmowy przewóz eksponatów od granicy Polski. Ze swej strony Wydział Wykonawczy przedsięwziął już kroki w kierunku wyjednania wszelkich możliwych ulg od władz polskich przy przewozie eksponatów do granicy Państwa.

Tuszymy sobie, że WPanowie ze swej strony dołożą wszelkich starań, aby łowiectwo polskie na Międzynarodowej Wystawie w Lipsku godnie było reprezentowane.

W oczekiwaniu rychłej odpowiedzi, pozwalając sobie raz jeszcze prosić o pośpiech, ze względu na bliski już termin rozpoczęcia Wystawy, pozostajemy

Z poważaniem

POLSKI ZWIĄZEK
STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH



H. M.

Uzupełnienie artykułu
„O Pierwszej Powszechnej Polskiej Wystawie Łowieckiej” w Poznaniu w r. 1929

(vide „Łowiec” Nr. 23 z roku ubiegłego)

Przez nieuwagę zapomniano umieścić wzmiankę o wspaniałej skórze ogromnego tygrysa, ubitego przez hr. Józefa Potockiego, która jest jedną z głównych ozdób egzotyków (l. k. 47) i o skórze odyńca ubitego przez p. W. Ocetkiewicza (l. k. 102) o gęstej, puszystej i wysokiej szczeci zimowej, która odbija swą wielkością i wejrzeniem od innych mniejszych o krótkiej szczeci letniej skór dziczych, aczkolwiek wysoko odznaczonych.

Z wieńców jeleni nizinnych odznaczają się dwa t. j. wystawiony przez p. Jana Pętkowskiego najlepszy z Poznańskiego (l. k. 10) i przez p. hr. Maurycego Potockiego (l. stoiska 44, lecz niewymienionego w katalogu) kapitalny z Borek na Polesiu.

Zapomniano również wspomnieć (i wyszczególnić) o stoisku p. hr. Stan. Łąckiego (l k. 56) na którem były 3 dobre wieńce jeleni z Poznańskiego kształtne i mocne i 3 grube mocne myłkusy sarnie. Inne rożki sarnie pochodzące z odstrzału w maju (jak świadczą napisy na tarczach) nie mają barwy i są za słabo wytarte. Zwraca uwagę pięknie wypchany tokujący drop.

Pan generał Raszewski (l. k. 93) umieścił 17 par rożków przeważnie dobrych, z których jedna, grubego ósmaka, bardzo mocna i wysoka, ale zato z powodu wąskiej, strzelistej budowy mniej kształtna.

Zasługuje również na uwidocznienie para rożków, które wystawiła p. Adolfowa hr. Bnińska z Poznańskiego (l. k. 104) jedna, ale zato mocna.

Dziwi mnie, dlaczego nie otrzymał nagrody wspaniały wieniec kapitalnego jelenia osiemnastaka, wystawiony przez p. Kazimierza Gozimirskiego (l. k. 31)? Czy dla tego, że był odebrany kłusownikowi?

Kto go ubił — nie gra tu roli, tylko fakt, z czyjej hodowli i z czyjego rewiru pochodzi. Jeżeli nie ma wątpliwości, że jeleń był własnością p. G., należy mu się bezsprzecznie za ten wieniec jedno z pierwszych odznaczeń.

Pomyłki druku zauważono na str. 358 w poz. 14, — zamiast „l. k. 33“ — ma być „**l. k. 37**“ — na str. 359 w pozycji 6, należy skreślić „7“, a pozostawić tylko „**16**“ — w pozycji 15, po słowie „bezbarwnych“ należy dodać: „**niezupełnie jeszcze dokładnie wytartych**“. Słowo niewytartych“ należy wypuścić.

WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

W sercu tajgi i tundry syberyjskiej

(Dokończenie)

Handel zamienny puszystemi futrami już długo przed wojną światową zmniejszył się znacznie. Rabunkowa gospodarka dzikusów, niedała długo czekać na jej skutki. Sobol już i tam należał do rzadkości, jeleń, łoś, renifer cofnął się w niedostępniejsze ostępy a król tych lasów bury misio nie wyłaził na kraj tajgi ze swych leży w sercu najgłębszej tajgi. Poszukiwanie kości mamutów nie dawało też tak obfitych rezultatów i wielkich zysków. Tylko rybołostwo zdaje się nie być wyczerpanem w tych krajach. Jemu też oddaje się z całem zamiłowaniem każdy Jakut od dziecka do starca, jemu też zawdzięcza on swój byt i istnienie.

Osobliwością wód syberyjskich jest ich nagłe wystąpienie z koryt i łożysk z nastaniem silnych pierwszych mrozów, i nacisku na nie grubych 1½—2 arszynów lodów. W tym czasie ryba koncentruje się w mniejszych zbiornikach i jest łatwą do zdobycia, a bywa wprost zdumiewającą tak pod względem wielkości, jak i różnorodności. Przednie okazy zbywa Jakut na rynkach dalekich, zasuszając lub wędząc całe jej masy pośledniejsze dla siebie i swych psów, bez których Jakut nie zna życia i miećby go nie mógł. Pies, ten kudłacz płowo-biały, zły a wytrwały, zastępuje Jakutowi siłę pociągową w jego długich wyprawach, jest mu pomocnym w polowaniach, rybołostwie i pilnowaniu reniferów domowych. Nie zawsze jednak są one posłuszne rozkazom ich władcy. Często wszczynają zażartą kłótnię między sobą, porwą i splączą w czasie jazdy uprząż, a gdy na swej drodze zoczą lisa, pieska lub wilka, popędzą za nim tak długo, póki sił im starczy a pomęczonych ani groźbą ani prośbą do dalszej jazdy zmusić nie podobna. Używa

w takich razach fortelu woźnica. Nagłym okrzykiem: „lis, lis" pobudza je do dalszej jazdy.

Statystyka w 1897 r. wykazała ogólną cyfrę mieszkańców 220 tysięcy ludności na 3,489.689 kw. wiorst, z czego Jakutów $^2/_3$.

Rolnictwem zajmuje się zaledwie kilkaset rodzin Skopców, przesiedlonych z Rosji na południe Jakuckiego kraju. Dobrowolni ci rzezańcy, protestujący biblijnemu „kochajcie i mnóżcie", po pierwszej ekstazie uniesień małżeńskiego życia, wykonują swój wstrętny, sekciarski obrzęd, poczem oddają się forsownym zabiegom około fortuny. Są dobrymi rolnikami, sieją owies, jęczmień, len, więcej na południu pszenicę, nawet kawony plantują. Jako hodowcy bydła są znani, lecz oddani sobie — żyją w odosobnieniu, są materjalistami i wyzyskiwaczami.

Z całej obszernej Jakuckiej ziemi najsroższym klimatem jest okręg Kierhojański, gdzie latem do 3 stopni ciepła — zimą zaś 33—60 niżej zera dochodzi. Nie rzadko burze śnieżne zdarzają się w czerwcu, a burze syberyjskiej zimy, trwające po dni kilka są tak straszne, że Jakut zmuszony wyjść z jurty lub domu po drzewo o kilka kroków od chaty, przywiązuje się liną do odźwierzy, by nie być odrzuconym i by trafić napowrót do jurty. Cudowne są świetlane noce, a jeszcze piękniejsze owe zorze polarne, świecące całemi nocami najcudowniejszemi barwami tęczy złota i srebra. Kraj bezludzia, bezdroża i pustkowia okropnego. Można przejechać setki wiorst, nie napotykając ludzkiego osiedla a jeżeli i natrafi się na nędzną chatę lub samotną osadę, uważasz ją za przypadkową, zabłąkaną a przedewszystkiem niepotrzebną w tem strasznem, dalekiem pustkowiu. Aby ten kraj był zdrowym dla ludzi i stworzeń, wątpić należy. Szybka wegetacja raptownego lata, wysila roślinność, która nie mogąc utrzymać się na wątłych łodygach, pełza w większości po wilgotnej ziemi i wydziela niezdrowe zapachy, co w połączeniu z cuchnącemi wodami siarczanych źródeł tamuje nawet swobodę oddechu. Zima zaś dla nienawykłego przybysza jest jeszcze więcej zabójczą.

Pewien Rosjanin porównywa Jakutję do wielkiej skrzyni, pełnej skarbów nadzwyczajnych, zamkniętych na zamki wiekiem, czekającej na mistrzowską rękę, mogącą ją otworzyć dla użytku całej ludzkości. Bodaj tą ręką nie była chamska łapa krwiożerczego bolszewika i nie użyła tych skarbów do swych zbrodniczych, zbójeckich celów.



JAROSŁAW HUBALEK

Demon puszczy

(Autoryzowany przekład Wład. Karnkowskiego)

(Ciąg dalszy)

Hawran pieszczotliwie obejmował swój sztucer, dawno upragniony, a świeżo nabyty, małokalibrowy Schönauer. Sam jeździł po niego do stolicy, sam go wypróbował na strzelnicy, nie targował się — przykładna bowiem broń dla leśnika to więcej niż pieniądz — to karjera, awans i bezpieczeństwo życia. Krótko bawił w Pradze. Zawrotny ruch na ulicach, beczenie samochodów, wrzaski jazz-bandów, wyzywające spojrzenia podmalowanych piękności ulicznych, wszystek przepych i kultura wielkiego miasta, ustąpiły miejsca tęsknocie do katedralnej ciszy, królewskiej powagi, majestatycznego spokoju puszczy. Najbliższym kurjerem uciekł od ludzi. Poweselał dopiero na widok ukochanych Karpat. Tu szczęście, tu prawdziwa błogość życia, nad potokiem, z bronią w ręku.

Z zadumy wyrwał go lekki szmer. To kamyczek maleńki toczył się po urwisku za jego plecami, aż legł cicho zatrzymany jakąś przeszkodą. Po ciele leśnego przeszedł rozkoszny dreszcz oczekiwania. Półobrotem głowy spojrzał poza siebie. Wystarczyło. Wróciwszy do poprzedniej pozycji, miał ledwie tyle czasu, by — nie mierząc — z przyrzutu posłać kulę tam, gdzie w koronie padłego drzewa, ginęły już sylwety dwóch rysi. — Beznadziejnie poszedł sprawdzić bieg kuli — i z ciężkiem sercem wrócił do szałasu. Długo w noc nie spał, dopiero nad ranem uspokoiły się rozkołysane nerwy.

Wstał, zmęczony snem przerywanym. Śnieg padał gęsty. Leśny szybko się odział i pospieszył na miejsce wczorajszego spotkania. Nim doszedł, śnieg leżał na milimetr grubo. Opatrzył naprzód miejsce zeskoku, ale nastrzału nie znalazł. Zeskok był o dwa metry dalej, ślady jeszcze widoczne. Nigdzie ani kosmyka włosów, ani kropli farby... Może dalej? Szedł po śladach na liściach pięćdziesiąt i jeszcze pięćdziesiąt kroków — nic. Po dłuższem poszukiwaniu znalazł kulę. Wydłubał ją z pnia bukowego, obejrzał bardzo dokładnie — ale pocisk nic mu nie powiedział. Oczywiście zwierz był chybiony, lub najwyżej lekko draśnięty. Na pewno nie ukaże się długo w tej okolicy — zarzucił więc leśny plecaki i wrócił do wsi, tembardziej, że sypało wciąż i nie było żadnej nadziei na zmianę.

Wyjątkowo zachciało się w ów pamiętny wieczór rysicy powtórnie skorzystać z tego samego przejścia. — Podejrzliwie wsłuchiwała się w szmer spadającego kamyczka. Już stała nad przejściem, gdy dostrzegła obrót głowy leśnego. Cofnąć się — było większem ryzykiem, niż iść naprzód. Toteż jeden skok i była w cieniu — ocalona. Chybiony strzał zatem pochodził stąd, że kamyczek usunął się sam w chwili, kiedy rysie stały nad przejściem. Zwrócenie uwagi leśnego na szmer, było o tyle dlań zgubnem, o ile dla rysi zbawczem. Nagła determi-

nacja skoku, tak rzadko spotykana u dowodzących generałów, a tak codzienna u rysia i lisa — okazała się tu jedynie wskazaną i jedynie celową.

Całą noc spędzili w ucieczce. Kilkaset metrów szli skokiem — potem zwolnili w kłus, przeszli Szipot i puścili się na Wiatrową Górę. Rysik był strasznie głodny, matka zaś ani słyszeć nie chciała o łowach. Naprzód zabezpieczyć trzeba własną skórę, a potem dopiero dobrać się do cudzej. Dzień przespali w nieprzeniknionych gąszczach sąsiedniego leśnictwa. Miękki śnieg pruszył bez przerwy, kożuszki mieli oboje przemokłe do cna, to też rysik z tęsknotą myślał o suchej i wymoszczonej liśćmi dziupli drzewnej. I rysicy musiał się teren nie podobać, skoro z nastaniem zmroku uprowadziła stąd synaczka pomimo zawiei śnieżnej. Weszli w stary wysoki las, pełen zmurszałych, lub wypróchniałych pni, ale i ten teren nie przypadł jej do gustu dla braku głazów i kamieni, potoków i wodospadów. Po drodze złowili zająca i łukiem najmniej trzydziestokilometrowym, wrócili na równą połoninę od strony przeciwnej.

Cały tydzień trwała szkaradna słota. Rysie były śmiertelnie głodne, zwierzyna wszelka stała w gęstych ostojach, ruch w puszczy zamarł.

Wonczas udało się rysicy załatwić stare porachunki z bezczelnym i aroganckim żbikiem. Miał on legowisko w dziupli buku — a zdradziły go przed gajowym tropy. Ocalał, ponieważ gajowy nie miał broni, lecz dobrze zapamiętał sobie drzewo. Zaś doświadczony kocur, skoro się kroki oddaliły, wytknął z dziury okrągłą głowę, rozejrzał się uważnie, poczekał ze dwie godziny i opuścił ciepły barłożek — na zawsze. Drobnym kroczkiem puścił się prosto na Wielki Bigar, stare swe łowisko. Po drodze bałamucił trochę. Dał się zatrzymać paru myszkom delektującym się bukowemi orzeszkami, wreszcie jarząbkowi zaszytemu w wysokie kępki łączne. To też noc już była, gdy spuszczał się po ścieżynie około wykrotu na samym skraju gęstwiny. Minął go na dwa metry, gdy nagle śmignęło coś powietrzem i ogromna łapa rysicy spadła mu na grzbiet. Nie byłby żbikiem, gdyby się poddał bez walki. W przedśmiertnej agonji, zagłębił w napastniku wszystkie pazury i tak skonał z rozgryzioną przez rysicę czaszką. Jednem szarpnięciem oderwała się od niego i jęła z groźnem mruczeniem ssać ciepłą krew. Synek przypiął się do zadniej pieczonki i po chwili — jako jedyny ślad istnienia żbika — pozostał na śniegu obrączkowany, krótki jego ogonek. Rysie znikły znów z rewiru na cały tydzień, zresztą natura sama przeszkodziła w ich prześladowaniu. Śniegi spadły tak obficie, że droga piesza w lesie stała się niemożliwą. Nadto straż leśna miała pełno zajęcia wobec równoczesnej eksploatacji i wywozu materjału drzewnego z kilku porębów. W chwilach wolnych próbowano podchodzić rysie na nartach, okazały się jednak niepraktyczne w gęstym poroście i kamienistym terenie.

Tak przeszła zima. Poczuwszy się na siłach, opuścił rysik matkę i rozpoczął życie samodzielne, ona zaś pocieszyła się rychło nowemi trzema kociętami. Niestety, szczęście nowego macierzyństwa trwało ledwie dwa tygodnie.

Wracając raz z łowów, usłyszała koło barłogu głosy ludzkie i naszczekiwanie psów. Przerażona uskoczyła w bok i zniknęła w gęstwinie. Wróciła dopiero wieczorem. Straszna niespodzianka! Przed barłogiem troje kociąt leżało martwych. Znać było na nich zęby psie i ude-

---

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

UTRACONE SZCZĘŚCIE

(Ciąg dalszy)

II.

W tydzień mniejwięcej po balu przechodził Michał ze strzelbą przewieszoną przez ramię wąskim duktem leśnym.

Jak zwykle, tak i teraz myślał o puszczy.

I dziś szedł doglądać niszczycielskiej pracy wycinania dębów.

A kiedy stanął na przecięciu dwóch linij leśnych, zobaczył pasącego się opodal kozła.

Na chwilę twarz Michała rozjaśniła się, stała się pogodną.

Szybkim ruchem zerwał sztucer z ramienia, i zaczął podchodzić sarnika.

Zwolna zbliżał się do kozła. Cicho i bezszelestnie stawiał kroki, niczem nie zdradzając swej obecności.

Wreszcie, gdy miał już objekt strzału na jakie 60 kroków, wyprostował się, twarz jego stała się namiętnie silna, zwolna podniósł strzelbę do ramienia.

Padł strzał.

Kozioł podskoczył w górę, stał jeszcze chwilę, lecz wnet go siły opuściły i upadł.

Ale gdy Michał zbliżył się do niego, podniósł się i dobrym jeszcze galopkiem uszedł w gąszcze pobliskiego zagajnika.

Michał nie mając psa przy sobie, zaniechał poszukiwań. Wiedział, że mocno raniony kozioł daleko nie pójdzie i wkrótce legnie.

Szybko też skierował swe kroki z powrotem do domu, by zabrać psa.

Jakoteż przybywszy do leśniczówki, zabrał wspaniałego wyżła niemieckiego, wiernego i jedynego towarzysza wśród tych borów przepastnych, zaprzągł konia do bryczki i ruszył na poszukiwania rannego koziołka.

Dojechawszy do miejsca, skąd strzelił, wysiadł z wózka, spuścił psa z otoka i poszedł wolno w las.

Wnet jednak Azor dał znać głosem, że jest na śladzie i tropi.

Przyspieszył marszu Michał i ledwo zdążył przejść z dwieście kroków, zobaczył leżącego kapitalnego szóstaka, a obok, dumnie siedzącego Azora.

rzenia kijem. Byli to kłusownicy. Nie zastawszy w domu matki, o której skórę głównie im chodziło, pomścili się niemiłosiernie na kociętach. Do martwych ciałek rysica więcej się nie zbliżyła. Usiadła opodal na płaskim głazie, przemruczała żałośnie noc całą i opuściła niegościnną okolicę na czas dłuższy. Gdzie się tułała — niewiadomo — dość, że powróciła dopiero w lecie do stad na połoninie. Rozwinęła tu całą mściwość swej kociej natury. Szkody mnożyły się w zastraszający sposób, rysica uchodziła zawsze bezkarnie. Nadaremnie przesiadywał leśny całe noce opodal przywiązanej owcy lub jagnięcia — nie dała się brać na przynętę. Nadzwierzęcym instynktem wiedziona — potrafiła przeczuć, kiedy przynęta jest zdradliwą, a kiedy nie. Raz leśny na pół godziny zmuszony opuścić zasiadkę, zastał z powrotem kołek w ziemi i kawałek powrozka, jagnię zaś przepadło uprowadzone przez demona.

Bezczelność rysicy przechodziła wszelkie pojęcie. — Dozorca pastwisk wziął z sobą wiosenne, rasowe szczenię — wilczka. Psiak się trochę zwłóczył i głosem ganiał zwierzynę. Raz zapędził się za sarną i długo nie wracał. Nagle do uszu jego pana doszedł głos bolesnego szczeknięcia — nagle urwany. Kilku pasterzy z dozorcą na czele, pośpieszyło na ten głos. Nie szukali długo. Na ścieżynie leżał psiak z przełamanym grzbietem i rozdartem gardłem. Leśny w duchu był wdzięczny rysicy za czworonogiego kłusownika, ona zaś zyskała nowego nieprzyjaciela. Wprawdzie nie był on myśliwym ale strzelcem, lecz tyle papieru zapisał skargami i raportami o szkodach i stratach, że w urzędzie zrobił się ruch. Niezależnie od urzędowych papierów, pan dozorca kupił sobie dubeltówkę jak największego kalibru, proch i śrut najgrubszy, z pomocą jednego z pasterzy-eksklusownika narobił ultramocnych naboi a poczuwszy myśliwską wenę, zaczął nudzić leśnego, aby urządził obławę na rysie. Leśny wymawiał się, jak mógł — nie mając wiary w powodzenie obławy — w końcu pod naciskiem władzy, musiał ustąpić i obławę naznaczono na dzień następny. Nagankę, co najważniejsze, bezpłatną, stanowili pasterze obznajomieni z terenem, strzelców było niewiele: leśny, dwaj gajowi i pan dozorca.

Rysica nadspodziewanie była w miocie. Przyszła w nocy, dzień przespała w pustym pniu, wieczorem zaś miała ochotę odwiedzić stado. Z lekkiego snu wyrwały ją hukania naganki. Poznawszy znane głosy pasterzy, przypuszczała, że szukają zbłąkanego bydlątka. Nie spieszyła się więc, czekając dalszych wypadków. Gdy nawoływania zbliżyły się do niej na dwieście kroków, zaniepokoiła się mocno. Wyszła z ukrycia i nasłuchiwała. Już widziała ludzi na przeciwległem wzgórzu; szli równym miarowym krokiem uderzając siekierkami o kamienie. Zaczęła ustępować przed nimi, badając wzrokiem okolicę. Nie była to ucieczka, raczej przezorny odwrót. Jeżeliś, miły czytelniku nie był na polowaniu, gdzie w miocie jest rzadka zwierzyna, to zawierz moim słowom, a każdy doświadczony myśliwy potwierdzi je z pewnością. Lis, wilk i im podobne klejnoty, nigdy nie przechodzą przez linję w miejscach spodziewanych i prawdopodobnych, gdzie stoi zwykle wytrawny strzelec, którego oddechu niemal nie słychać, lecz prawie zawsze tam, gdzie dla zapełnienia luki postawiono nowicjusza, lub niedołęgę, który ci będzie trąbił w chustkę od nosa, kaszlał, kichał, palił, a może i posilał się.

(C. d. n.)

Po obejrzeniu dokładnem rożków, tego najmilszego trofeum myśliwca, wyciął spory kij, przeciągnął go poprzez związane nogi kozła, zarzucił sobie tegoż na plecy i ruszył ku bryczce.

Wnet znalazł się w domu.

Rozjaśniona jego twarz, owiana oparami leśnych aromatów, skurczyła się boleśnie, gdy spostrzegł, że przed gankiem jego domu stoją konie Różogórskiego.

W małym, przytulnym, skromnym, lecz z gustem umeblowanym saloniku, siedział dziedzic Rzewuszek kopcąc grube cygaro.

Dzieńdobry panu, panie Lubicz — zagadnął, przyjechałem tu za interesem.

Otóż panie łaskawy, dziś jest czwartek, za dwa dni, to jest w sobotę przyjeżdża do mnie poseł na Sejm, muszę go uczcić polowaniem, trzeba, aby się pan postarał o ludzi, zrobimy nagonkę na dziki. Sądzę, że pan nie zawiedzie. Panie Michale, tu chodzi o bardzo ważną sprawę, a mianowicie: o pozwolenie wyrębu na 30 hektarów dębiny, wie pan tego kawałka tam koło Dzięciołówka.

Dobrze panie, nagonka będzie, ale czy dziki wyjdą, tego ja wiedzieć nie mogę — odrzekł Michał, w którego uderzył grom, w postaci sprzedaży najpiękniejszego kawałka puszczy.

Panie Michale, rób pan co chcesz, ale dziki muszą być, od tego zależy wszystko, gdyż pan poseł jest namiętnym myśliwym, a z jego protekcją uzyskamy prawo wyrębu, chociażby na cały las.

Aaa, jeśli od tego wszystko zależy, to postaram się dobrze poprowadzić polowanie — odrzekł, a w duszy Michała zrodziła się myśl: niedoczekanie twoje, by las ten wyrąbano, czekaj, już ja ci poprowadzę odpowiednio polowanie. Zobaczysz ty dziki, czekaj tylko.

Panie Lubicz, jeszcze jedna sprawa — ciągnął dalej Różogórski, tym chłopom, co pasą konie zaraz przy wjeździe do lasu, trzeba zaznaczyć wysoką karę, albo ich podać do sądu. Panie Michale, niedość, że pasą, ale wczoraj, gdy tamtędy przejeżdżałem i kiedy ich zacząłem łajać, podnieśli głos, że oni mają prawo pasienia tam od wieków, że nieboszczyk ojciec pana prawo to zatwierdził. To panie trzeba znieść. Ja nie myślę tracić. Trawę tam trzeba kosić lub wydzierżawić, zawsze będzie parę złotych.

Ja panie tego nie uczynię — z całą stanowczością rzekł Michał. Pan ma prawo podawać ich do sądu, ja im

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

O dawnych figlach niedźwiedzich i obecnych w zwierzyńcu zamojskim

Niedźwiedź dzięki swej ogromnej, kosmatej, wałkowatej i przysadkowatej postaci, a niezgrabnym ruchom i chodzeniu „jak niedźwiedź“, jest zwierzęciem pociesznem, a przytem figlarnem, i pomimo swych często groźnych zapędów — jest lubiany przez ludność, który to dawny sentyment pozostał po dziś w nazwach mu dawanych, jak: miś, misio, miśko, bartosz, wujek, wujko, kosmacz, kudłacz, włochacz i t. p.

W dawno przebrzmiałych czasach polskich istniała na Wileńszczyźnie w miasteczku Smorgonie, w powiecie oszmańskim szkoła, w której tamtejsi mieszczanie uczyli młode niedźwiedzie tańców i różnych komicznych sztuczek. Wyuczone w tej „akademji smorgońskiej“ niedźwiedzie, pochodzące przeważnie z lasów litewskich, rozchodziły się po całej Europie, produkując się ku wielkiej



Pocieszna Baśka wśród wesołego towarzystwa

---

nie mogę zabronić paść koni tam, gdzie mają prawo, a zresztą trawa tam licha. Daleko do domu i siano nic nie warte. Co panu z tego przyjdzie?

Jakto co przyjdzie, ja kupiłem cały las wraz z trawą w nim rosnącą, zawsze przyniesie to parę złotych. Pan widzę, nie zdaje sobie sprawy, co to jest pieniądz. Panie, ziemia powinna dać tyle dochodu, żeby z niego samego kupić można było drugi majątek.

Jak pan chce, ale ja im sprawy w sądzie nie wytoczę, ani ich karać nie myślę. A pan może robić co chce, — mruknął Lubicz.

Oj panie Michale, pan utopista, marzyciel. Ale ja im tego nie daruję.

No panie, ja już jadę, u mnie dzisiaj goście, niech pan tylko pamięta o sobocie i o dzikach. Panie, od pana teraz wszystko zależy. Do widzenia panu. Ale ja tym chłopom nie daruję, zapłacą mi jak nic.

Kiedy powóz dziedzica Rzewuszek zniknął w cieniu drzew, oczy Michała zaszły łzami.

Jakto on dałby wyciąć te dęby, najpiękniejsze w całym lesie. Nigdy, raczej utrata posady, niż wycięcie tych drzew najukochańszych.

Uda się do pani Gorskiej, przecież jej mąż jest stale w interesach z Różogórskim. Będzie ją błagał, by mu pomogła w tej sprawie.

A zresztą, o ile od niego tylko zależy, a właściwie od polowania, to on je tak poprowadzi, by ten wpływowy poseł wywiózł jak najgorsze wyobrażenie o gościnności kniei Różogórskiego.

Słońce rzuciło ostatni już blask na ziemię, dyszącą po całodziennej spiekocie, gdy Michał wyszedł na ganek.

Długo stał wpatrzony w odblask słońca kryjącego się za horyzont.

A kiedy mrok zaczął zapadać, kiedy gęste opary zaczęły się unosić z nad błót w puszczy położonych, kiedy zamarł śpiew ptasząt, kiedy nowe życie, życie nocy, owładnęło borem, zszedł Michał ze schodów i wolno udał się do lasu.

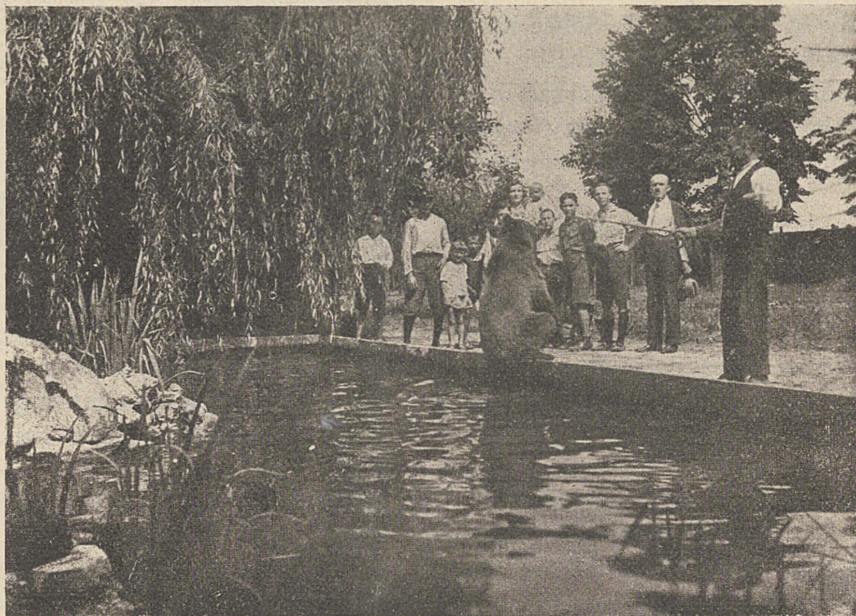
Wnet utuliła go puszcza. Wniosła mu chwilową pociechę, dawała mu na chwilę zapomnieć o przykrościach życiowych.

Czuł się w niej swobodniejszym, lżej mu było oddychać.

Marzeniem Michała było spocząć tu, w tej puszczy na wieki, tu znaleźć miejsce wiecznego spoczynku.

uciesze gminu. X. Krzysztof Kluk, pisze w 1779 roku w swej Historji Naturalnej w ten sposób: U nas w Litwie uczą ich (niedźwiedzi) różnych figlów, najmują osobliwie cygani od właścicieli, i przygrywając, wodzą nietylko w kraju, lecz i zagranicą".

Tempores mutantur... Zniknął zupełnie z powierzchni życia naszego, ten piękny obrazek cygana z figlarnym bawionego, a przytem karnego misia, tańczącego przy dźwiękach fletu, że boki zrywać było można ze śmiechu. Pięknie odtworzył taką scenę malarz nasz Hipolit Lipiński w obrazie „Z niedźwiedziem". Niemiec Paweł Meyerheim pozostawił obraz „Der Bärenführer", a pięknem też jest dzieło hiszpańskiego malarza Joachima Aranjo y Ruano p. t. „Cyganie", gdzie cygan wiedzie na łańcu-



Niezwykle oswojona Basia wychodzi z kąpieli

niedźwiedziem na łańcuchu, za pojawieniem się którego wylęgała z domów cała wieś, zbiegali się starzy i młodzi, kobiety i dzieci, tworząc szerokie koło widzów dokoła rozchu niedźwiedzia do popisu — może nawet mieszkańca polskiej puszczy.

Około 1910 r. schwytał Purdin, właściciel dóbr na Li-

A kiedy nasunęło mu się pytanie: co będzie z tą puszczą po jego śmierci, obraz wandalizmu cywilizacyjnego przedstawił się jego oczom. Zapragnął żyć najdłużej.

Dwie wielkie, ciężkie łzy stoczyły się po jego policzkach.

Ale wnet wyprostował się, otarł ręką oczy, twarz przybrała wyraz stanowczości, postać cała znamionowała jakąś siłę olbrzymią.

I stał tak obok dębów, podobny im, stał silny i potężny niczem Achilles, który niezwyciężony był, a przecież miał swą piętę; tą piętą Achillesową Michała była utrata przebywania w tej puszczy, której ochrona stanowiła cel życia Michała Lubicza, niestrudzonego jej obrońcy.

III.

Słońce jeszcze, skryte na wschodzie, rzucało tylko blaski na firmament nieba, gdy Michał bez strzelby jechał na koniu przez las.

Ptaki jeszcze spały. Czasem tylko przecięła powietrze sowa, śpiesząc na odpoczynek po całonocnym rabunku.

Miljardy kropel rosy błyszczały na każdym liściu.

Siatki pajęczyn wydawały się utkane z atomowej cienkości nitek jedwabnych, lśniących różnemi kolorami.

Na obszernej polanie, otoczonej ze wszech stron lasem, spowitej tumanami mgieł, ukazały się sylwetki sarny i kozła.

Zatrzymał Michał na chwilę konia, oczy utkwił w ten widok bajeczny, imponujący.

Myślał o dzisiejszem polowaniu.

A więc dziś zjadą się panowie myśliwi, którzy nawet nie potrafią uszanować spokoju w puszczy.

Zjadą się nie poto, by zobaczyć najwyższe piękno, jakiem są przejawy natury, a zjadą się tylko z powodu jakichś tam interesów, zjadą się, by śmierć zwierzyny ułatwiła im wycięcie puszczy.

Chcą, by śmierć zwierza pomogła im w niszczeniu przyrody.

Nie, on do tego nie dopuści.

Wie, że to co zrobi, nie będzie w zgodzie z obowiązkami, przejętemi na siebie, ale postąpi w każdym bądź razie zgodnie z najgłębszym rozkazem sumienia.

(C. d. n.)



twie, maleńkiego niedźwiadka, który wykarmiony przy pomocy flaszki, rozwijał się znakomicie i stał się z czasem wybornym komikiem, że obecni śmiali się do rozpuku. Sława tego niedźwiedzia, zwanego „Sasza“ dotarła nawet na dwór petersburski i była powodem odwiedzin pary carskiej u Purdina, celem naocznego ujrzenia nadzwyczajnych figlów „Saszy“.

Niedźwiedzie syberyjskie, których przed wiekiem było wielkie mnóstwo, napadały na konie juczne, idące karawaną na Kamczatkę, poszukując głównie gorzałki. Gdy miś wypróżnił burłak do dna, zaczynał się tarzać, brykać i koziołkować. Bywało też, że porwawszy worek z mąką, zanurzywszy w niej głowę uchodził cały upudrowany.

Zniknął — jak wspomniałem już — sympatyczny obrazek niedźwiedzia wędrującego od wioski do wioski, po szerokim świecie, jakkolwiek puszcze i bory nasze posiadają jeszcze niewielką ilość niedźwiedzi. Pocieszne więc figle ich zaobserwować możemy dziś tylko w zwierzyńcach naszych, gdzie niedźwiedzie są darzone specjalną sympatją zwiedzających.

Sto kłopotów i sto pociech zarazem ma każdy zwierzyniec z niedźwiedziami, a więc i zwierzyniec w Zamościu, który zwiedziłem ostatnio latem 1929 roku. Są tu dwa niedźwiedzie: trzyletni Miś — król zwierzyńca, zakupiony w Hamburgu, pełen werwy, a czasami brutalności niemieckiej, oraz niedawna żona jego Basia, urodzona w zwierzyńcu poznańskim, łagodna i wesoła, prowadzona po ogrodzie w otoczeniu dziatwy, jak to widzimy na jednej z rycin. Słusznie czytamy w przypowieściach zebranych przez Salomona Rysińskiego (1629), że „kiedy niedźwiedzia raz przemożesz, już go gdzie chcesz, za nos powiedziesz“, a Basię prowadzą na łańcuchu uczepionym nie za nozdrza, lecz na szyi, jak najspokojniejszego psa. Wiele uciechy miała młodzież i zwiedzająca publiczność, gdy Basia z rozkoszą wchodziła do basenu, w którym żyją żółwie, przebierając przedniemi łapami, chlapiąc siebie i otoczenie, próbując komicznie sztuki pływania, lub też chwytając rozkosznie zwisające nad wodą gałęzie wierzbowe. Kilkakrotnie używała też Basia kąpieli w zwyczajnej wannie ogrodowej.

Trudniejsza jest już sprawa z Misiem, który jeszcze nie nasiąkł kulturą naszą i ma grube, niemieckie dowcipy i z tej przyczyny, pozostaje stale w swej klatce, do której jednak swobodnie wchodzi tylko woźny Mikołaj, przerabiający Misia na porządnego lokatora zwierzyńca, jakim jest jego połowica Basia.

Wiadomą jest rzeczą, że niedźwiedź jest stale głodny, a nawet wtedy, kiedy jest najedzony... Choćbyś mu przez cały dzień rzucał do paszczęki najsmaczniejsze funtowe pierniki toruńskie, zawsze będzie mu zamało, zawsze łaknąć będzie... Nic więc dziwnego, że publiczność różnego autoramentu i różnie pojmująca stopień strawności i proces trawienia, różnemi delikatesami karmi dopominającego się niedźwiedzia, a Miś — niczem cyrkowiec — zabawia gości zwierzyńca pożeraniem różnych rzeczy, jak to było np. 8 września 1929 r. w czasie odpustu, kiedy to bez ceremonji skonsumował dwie czapki, kapelusz i torebkę skórzaną damską, oraz pamiątkową książkę do nabożeństwa. Jednego dnia po obiedzie, połknął Miś „na deser“ parę nowiuteńkich sandałów, ku kwaśnej minie przypadkowego ofiarodawcy, a radości zebranych, którzy ryczeli ze śmiechu głośniej niż niedźwiedzie proszące publiczność „o jeszcze“.

Miś — jako ten fakir indyjski — połyka wszelkie przedmioty, oprócz spinek, klamer, sprzączek, gwoździ etc. jako, że nie znosi ceremonji prześwietlania Röntgenowskiego...

Najparadniejsza jednak scena zdarzyła się pod koniec ubiegłego lata. Przy różnych klatkach była zebrana liczna publiczność. Nagle od strony niedźwiedziarni dolatuje przeraźliwy głos i wołanie w rozpaczy, jakby po sprzedaniu dolarówki, na którą następnego dnia padła główna wygrana na rzecz nowonabywcy. Śpieszy na pomoc kierownik zwierzyńca prof. Miller, śpieszy służba, śpieszą uczniowie gimnazjalni a Miś trzyma w łapach nowiuteńką błyszczącą teczkę skórzaną, wyrzuca z niej na podłogę różne pisma, dokumenty i weksle, a przekonawszy się, że papiery te nie są partyjne, zabiera się z apetytem do pałaszowania teczki. A opodal stojący nieznanego mi nazwiska Lwowianin, właściciel teczki, załamuje ręce i nogi, i przeklina, błaga i grozi, włosy wyrywa sobie z głowy; rozpacz jego wszystkim się udziela. — A Misio tymczasem dokańcza teczkę, a jeśli po teczce przyjdzie kolej na papiery... o rozpaczy!...

— „Weksle!... Weksle!... Wyleją mnie ze służby. Bez weksli nie mam poco wracać do Lwowa!“

Próby wyciągnięcia papierów długą tyczką nie udały się. Z teczki pozostał tylko fragmencik... jeszcze jeden łyk tylko... Poszkodowany płacze, jak ten już dziś głośny czarny bóbr grodzieński. Zdawało się, że Miś już zabierze się do papierów, gdy nagle nastąpiło odprężenie w beznadziejnej sytuacji. Nadszedł woźny Mikołaj z gorącą i dymiącą cielęciną, za którą Miś przepada. Zwierzę rzuciło się na zasuwę, dobierając się do gorącego mięsa, a przez ten czas zdołano usunąć z klatki papiery całe, tylko nieco zakropione... na kolor czekolady...

Uradowany Lwowianin wyjechał śpiesznie z Zamościa, ślubując, że nigdy już nie będzie głaskał niedźwiedzia teczką, tylko pajdą chleba, bułką, kołaczem, preclem, które są tańsze, aniżeli weksle... posada... i teczka...



Rozkoszna Basia w kąpieli

J. O. CURWOOD

SZARA WILCZYCA

(Kazan, the Wolf-Dog)

w przekładzie Jerzego Marlicza

Opowieść ta kładziona jest przez krytykę na czele utworów Curwooda. Przytaczamy z niej ustępy, poświęcone bobrom, pracującym pod wodzą starego patrjarchy „Szczerbatego". Do walki, przegranej wkońcu, występuje z nimi wydra, jakoteż para „bohaterów" powieści, mianowicie „Kazan", pies mający w sobie jedną czwartą krwi wilka i „Szara wilczyca", oślepła w walce z rysiem, nieodstępna towarzyszka Kazana, z którym skojarzyła się w puszczy. *W. Z.*

ROZDZIAŁ XIX.

Najeźdźcy.

U schyłku promiennej wiosny, a na początku znojnego lata, gdy noce gorzały gwiazdami jak tysiącem klejnotów, Kazan wraz z Szarą Wilczycą ruszył doliną, środkiem dwu górskich odkosów, na dalekie łowy. Był to początek napadu włóczęgostwa, ogarniający zawsze czworonożne istoty natychmiast po opuszczeniu gniazd przez młode pokolenie.

Ruszyli zatem od wykrotu wprost na zachód. Polowali przeważnie nocą, znacząc swój pochód napół obgryzionemi szkieletami przepiórek i królików. O tej porze roku zabijano dla przyjemności i z nadmiaru sił żywotnych, nie zaś dla zaspokojenia głodu. W odległości dziesięciu mil od młaki zamordowali jelonka. Odbieżeli go po jednej uczcie śpiesząc w dalszą drogę. Byli wiecznie opchani świeżem mięsem i krwią. Utyli oboje, sierć świeciła na nich, i co dnia dłużej i leniwiej kąpali się w słońcu. Nikt nie wchodził im w drogę. Rysie zwiedzały gęstsze mateczniki na południu. Wilków brakło zupełnie. Wzdłuż strugi zamieszkiwały coprawda skunksy, kuny i łasice, lecz te nie należały do groźnych konkurentów.

Pewnego dnia napotkali starą wydrę. Był to samiec, istny olbrzym, z nadejściem lata porastający siwym włosem. Kazan otyły i leniwy przyglądał się mu nonszalancko. Ślepa samka wciągała ciekawie woń przesyconą odorem ryby. Zresztą zważali nań niemal tyle, co na płynącą gałąź. Należał do rzędu istot wodnych, zatem obcych ich światu, to też ruszyli w swoją drogę, nie przepuszczając nawet, że ta dziwaczna kreatura stanie się wkrótce ich sprzymierzeńcem w jednej z najzażartszych wojen.

Nazajutrz po spotkaniu wydry Szara Wilczyca i Kazan uszli jeszcze trzy mile, krocząc wciąż na zachód, wzdłuż koryta strugi. Lecz wreszcie trafili na przeszkodę, która zmusiła ich skręcić na północ, ku linji wzgórz. Przeszkodę stanowiła ogromna tama bobrowa. Ciągnęła się ona na dobre sto jardów, kryjąc pod wodą całą milę błot i lasu. Zarówno Szara Wilczyca, jak i Kazan nie dbali zbytnio o bobry. Te ziemnowodne stworzenia tworzyły wespół z rybą i lotnym ptakiem zwierzostan niedostępnych im żywiołów.

To też skręcili na północ, ani przypuszczając, że przyroda kazała już im czworgu: — psu, wilczycy, bobrowi i wydrze wejść w tragiczny konflikt. Mieli stoczyć walkę bez pardonu, jedną z tych, jakie oglądają jedynie słońce, księżyc i gwiazdy, a które pozostają na zawsze tajemnicą głuszy.

Od wielu lat żaden człowiek nie niepokoił kolonji bobrów. Gdyby jednak myśliwiec z plemienia Sacri, wędrując wzdłuż bezimiennej strugi, zabrnął w te okolice i schwytał patrjarchę oraz wodza osady, poznałby wnet, że ma przed sobą wiekowe stworzenie; a władając barwnym, indyjskim językiem, bez zwłoki nadałby mu odpowiednie imię. Nazwałby go Szczerbatym, gdyż jeden z czterech kłów bobra, służący mu do piłowania drzew, był wyłamany ze szczęki.

Przed sześciu laty Szczerbaty przywiódł w te strony paru towarzyszy i przy ich wydatnej pomocy założył pierwszą niewielką tamę, oraz zbudował pierwszy domek. W następnym roku, w kwietniu, samka wodza wydała na świat czworaczki, a każda z pozostałych dam kolonij pomnożyła liczbę jej mieszkańców w ten sam lub nieco skromniejszy sposób. Po upływie lat czterech, o ile wypadki miały iść biegiem normalnym, cała młodzież winna była porzucić rodzinne pielesze, i łącząc się w pary, zakładać nowe żeremia. Tymczasem, jakkolwiek skojarzono wiele małżeństw, nikt nie opuścił starej kolonji. Po roku nowa, czteroletnia teraz generacja osiadła również obok rodziców. To też obecnie siedziba bobrów robiła niemal wrażenie miasta, dłuższy czas będącego w oblężeniu. Ostatnio przybyły jeszcze cztery bębny, wydane na świat w marcu i w kwietniu. Tama wydłużyła się, zajmując przestrzeń dwustu jardów. Wodą pędzono zdala wielkie pnie brzóz i topoli, oraz sprowadzano całe pęki delikatnych gałęzi wierzb i olch. Tem niemniej brakło pożywienia, a domki pękały niemal od nadmiaru mieszkańców. Tymczasem bobry przywiązują się do rodzinnych chat narówni z ludźmi. Lepianka Szczerbatego miała wewnątrz dokładnie siedem stóp na dziewięć długości, a zamieszkiwało ją, licząc w to dzieci i wnuki, dwadzieścia siedem stworzeń. To też senior rodu postanowił naruszyć uświęconą latami tradycję. Właśnie gdy Kazan i Szara Wilczyca łowili niedbale specyficzną woń bobrowych żeremi, Szczerbaty wyprowadzał całą swą rodzinę i potomstwo na dobrowolną emigrację.

Jak dotąd, był on uznanym wodzem kolonji. Żaden inny bóbr nie dorównał mu we wzroście i mocy. Krępy korpus miał pełne trzy stopy długości. Ważył dobre sześćdziesiąt funtów. Ogon, czternaście cali długi, a pięć szeroki, klasnąwszy po wodzie w cichą noc, słał odgłos uderzenia na ćwierć mili w dal. Tylne łapy pociągnięte błoną urosły dwukrotnie większe niż łapy jego samki, przyczem bez trudu osiągnął sławę najlepszego pływaka gromady.

Od chwili gdy Kazan i Szara Wilczyca skręcili na północ, minęło zaledwie parę godzin. Nadeszła cicha, jasna noc. Szczerbaty, wlazłszy na grzędę tamy, otrząsnął się z wody i obejrzał, by sprawdzić, kto za nim dąży. Wy-

gwieżdżona toń stawu falowała drżąc, mącona ruchem wielu ciał. Parę starszych bobrów wygramoliło się w ślad za patrjarchą, więc ten nurknął w głąb wąskiej strugi, migocącej po drugiej stronie tamy. Lśniące, jedwabiste sylwetki emigrantów wykonały tenże ruch. Parami, trójkami lub pojedyńczo matki pięły się na wysoką grzędę zapory, wiodąc tuzin bębnów, urodzonych przed trzema miesiącami. Ruszyli wpław szybko i wprawnie, tnąc gwiezdną wodę, przyczem małe brzdące wiosłowały zaciekle, by nie zostać wtyle. Ogółem towarzystwo liczyło czterdzieści głów. Szczerbaty znacznie wyprzedzał gromadę, mając za sobą najzaufańsze siły robocze. Matki z dziećmi tworzyły arjergardę.

Płynęli tak całą noc. Gdy mijali wydrę, najzaciętszego z wrogów, gorszą dla nich nawet niż człowiek, nie dostrzegli jej, gdyż zaległa cicho w gęstej kępie wierzbiny. Przyroda po wiek wieków powaśniła ze sobą bobra i wydrę. Ta druga, karmiąc się wyłącznie niemal rybą, nietylko pobiera z niej dziesięcinę, lecz zarazem strzeże od zbyt szybkiego wymarcia. Być może więc odgadła kiedyś, że nadmierna ilość tam krępuje swobodę wiosennych wędrówek, a co zatem idzie — tarła, i że wraz z rozrostem bobrowych żeremi ryby giną. Niejednokrotnie musiała z trudem chwytać potrzebny pokarm, a nawet cierpiała głód. To też nie mogąc zwalczać poszczególnych członków licznych kolonji, postanowiła niszczyć ich budowle. W jaki sposób zagłada tamy powodowała śmierć samych bobrów, pokaże najbliższa przyszłość.

W ciągu nocnej wędrówki Szczerbaty kilkanaście razy przybijał do brzegu, badając zasoby kraju. Lecz tam gdzie rosła obfitość dobrej kory i młodych pędów, teren nie nadawał się do budowy tamy. A stary patrjarcha był nietyle nawet żarłokiem, ile wrodzonym architektem. Za każdym razem zaś, gdy ruszał dalej, nikt z rodziny nie ważył się pozostać wtyle. O brzasku minęli pogorzelisko i dotarli do błot, śród których ział wykrot Kazana i Szarej Wilczycy. Zgodnie z prawem pierwszego odkrywcy i osadnika to torfowisko stanowiło własność psa i wilczycy. Wszędy pozostawili ślady swojej bytności. Lecz Szczerbaty był raczej wodnem stworzeniem, i jak wszyscy z jego rasy, obdarzony miernym węchem. To też płynął dalej, zwalniając tylko pędu w miarę, jak na brzegu zgęszczało się poszycie leśne.

Tuż poniżej wykrotu wstrzymał jazdę, a wylazłszy na ląd, stanął dęba i jął się kołysać na zadnich łapach opatrzonych błonami oraz na swym czterofuntowym, płaskim ogonie. Tu wreszcie znalazł idealne warunki. Wpoprzek wąskiej strugi łatwo było przeciągnąć tamę, a las, rosnący nad wodą, dawał obfitość brzóz i topoli, wierzb i olch. Ponadto gęstwa boru chroniła od wiatrów północnych, obiecując zaciszną zimę.

Szczerbaty dał szybko do zrozumienia towarzyszom, że tu założą nową osadę. Wnet bobry rozpierzchły się w zaroślach po obu stronach koryta. Zgłodniałe maleństwa poczęły bez zwłoki żuć delikatną korę wierzb i olch. Starsi zmienili się momentalnie w inżynierów i budowniczych, a całkowicie pochłonięci pracą jedynie zrzadka urywali tu i ówdzie trochę jadła.

Tegoż dnia poczęto stawiać domy. Szczerbaty wybrał osobiście wielką brzozę pochyloną nad strugą i zaczął trzema mocnemi zębami nadgryzać drzewo, mające dziesięć cali średnicy. Jakkolwiek stary wódz postradał jeden kieł, inne zęby zachowały dawną moc. Zewnętrzną ich stronę tworzyła niezmiernie twarda emalja, wewnętrzną delikatna kość. Robiły wrażenie idealnych nożyc, bowiem emalja nie niszczała nigdy, a kość narastała co roku świeżą warstwą w miarę zużycia.

Kucnąwszy na tylnych łapach, przedniemi obejmując drzewo, mocno wsparty na ciężkim ogonie, Szczerbaty nacinał wąski pierścień wokół pnia. Pracował kilka godzin bez wytchnienia, a gdy wreszcie postanowił odpocząć, inny robotnik zajął jego miejsce. W tym czasie kilkanaście bobrów trudziło się wielce, tnąc pomniejsze krzewy. Oto z hukiem runęła w wodę młoda olcha, zaś wyżłobiony pień brzozy przybrał formę szkiełka klepsydry. Po upływie dwudziestu godzin białe drzewo trzeszcząc, padło wpoprzek strugi.

Jakkolwiek bóbr jest przedewszystkiem nocnym robotnikiem, o ile zajdzie potrzeba, pracuje on i we dnie. Szczerbaty w ciągu następnych kilku dni nie folgował ani trochę swojej licznej świcie. Zwierzęta wykazywały przytem niemal ludzką inteligencję. Walono młode drzewa, dzieląc je potem na słupki długości czterech lub pięciu stóp. Później toczono je nad wodę, pchając łapami i łbem, ciskano w toń, a przy pomocy drobnych gałęzi i szuwaru wiązano starannie do owej brzozy. Gdy szkielet był gotów, bobry przystąpiły do robót murarskich. Tu przewyższyły nawet człowieka. Ich wspaniałą budowę mógł zczasem rozwalić jedynie dynamit.

Pod szeroką brodą znosiły ku tamie mieszaninę błota i suszu, za jednym nawrotem dostarczając w ten sposób pół funta, a nieraz i funt materjału. Uszczelniały nim szpary śród pni i gałęzi. Napozór praca była niewykonalna, lecz robotnicy Szczerbatego mogli harować dzień i noc, znosząc na dobę tonę lepkiej zaprawy. Po upływie trzech dni struga wylała z pierwotnego łożyska, zatapiając kilka drzew i kępę krzewów. To ułatwiło dalszą pracę. Materjał cięto w wodzie i holowano go wpław. Podczas gdy część bobrów umacniała zaczątki tamy, reszta piłowała nowe pnie, waląc je na jednej linji z brzozą. Zapora rozrosła się w obie strony, osiągając długość kilkudziesięciu metrów.

Zadanie było niemal ukończone, kiedy pewnego ranka Kazan i Szara Wilczyca wrócili do domowych pieleszy.

Dok. nast.



Notatki bibljograficzne

Wśród nowych książek Juljana Ejsmonda

Oprócz opowiadań pod tytułem: „Moje przygody łowieckie", o których uczyniliśmy wzmiankę niedawno (Łowiec z dn. 1. grudnia 1929), zawdzięczamy Ejsmondowi trzy dalsze wydawnictwa. O nadzwyczajnej płodności p. Juljana Ejsmonda pisaliśmy już niejednokrotnie. Tym razem jest to jego własny rekord. Wszystko przytem rzeczy pierwszorzędne, choć każda w innym rodzaju.

1. **żywoty drzew.** Druga księga „W puszczy". Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk J. Rajskiego, Warszawa 1929. in 8-o, str. 92. Jestto *pendant* nowelistycznych studjów zwierzęcych, drukowanych, jak wiadomo, w dwóch wydaniach, pod tytułem „W puszczy". Obecny zbiór zawiera ośm na wskróś oryginalnych utworów o nagłówkach następujących: Dzieje dębu, Tajemnica lipy, Śmierć choinki. Pod umówionym jaworem, Wierzby płaczące, Sosna na wzgórzu, Los małej brzózki, Legenda o osinie. Czytelnicy, znający już tę książkę, sympatjami swemi obdarzają przedewszystkiem dramatyczny „żywot" Dębu i w wysokim stopniu działający na wyobraźnię „żywot" Sosny. Osobiście na pierwszem miejscu postawiłbym Lipę. Ale trzeba znać tło tego utworu. Reminiscencje Ejsmonda o „Lipie czarnoleskiej" i jego aluzje do słów włożonych przez nieśmiertelnego wieszcza w szum tej lipy historycznej: *„Gościu! siądź pod mym liściem a odpoczni sobie"*, mają uzasadnienie w poetyckiej twórczości autora. Ejsmond bowiem przełożył Kochanowskiego łacińskie utwory na język polski, za co swego czasu (1919) otrzymał był pierwszą w niepodległej Polsce państwową nagrodę literacką. Dopiero więc znając jego wielką cześć dla Kochanowskiego i imponujące zadanie, jakie miał do pokonania w pracy przekładowej, możemy należycie ocenić przepiękną osnowę „Tajemnic lipy".

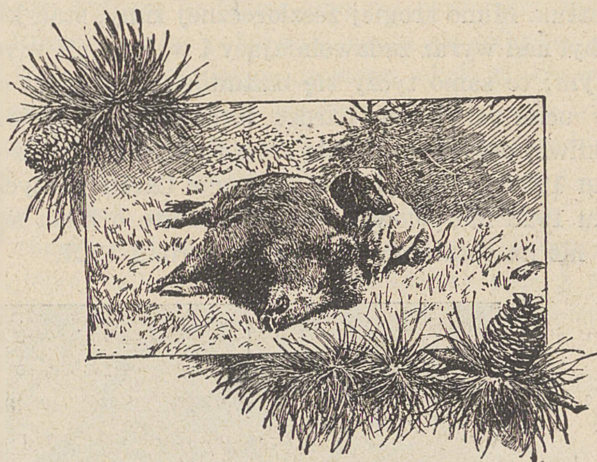
2. **Przygody wiewióreczki.** Z ilustracjami Mikołaja Wisznickiego. Nakład i własność K. S. Jakubowskiego, Spółki wydawniczej, Druk Jakubowskiego, Lwów, 1929 in 4-o, kart nieliczbowanych 7.

Jestto książka dla dzieci. Opiewa ona dzieje wiewiórki, Rudziuni. Tekst Ejsmonda wierszowany, żywy, sam zwrotny jak wiewiórka, odpowiadający znakomicie celowi. Ilustracje kolorowe, wykonane przez doskonałego naszego rysownika Wisznickiego, a nieustępujące utworom słynnego i ubóstwianego przez dzieci w całym świecie, francuskiego malarza-karykaturzysty zwierząt, Benjamina Rabier. „Przygody wiewióreczki" to idealna książka dla dzieci, o szlachetnej i pedagogicznie przeprowadzonej tendencji miłości przyrody.

3. **Poradnik-Kalendarz myśliwski na rok 1930.** Pod redakcją Juljana Ejsmonda. Rok III. Warszawa, druk Piotra Pyza i S-ki. Skład główny u redaktora, ul. Czerwonego Krzyża 25.

Obfita treść składa się z artykułów, odpowiadających wszystkim wymaganiom kulturalnego myśliwego. Poza częścią kalendarzową znajdujemy i w tym roczniku, jak w poprzednich, najrozmaitsze rady i wskazówki hodowlane, balistyczne, łowieckie, dalej utwory literackie całego szeregu wybitnych pisarzy z Ejsmondem na czele. Na szczególną uwagę zasługuje bardzo starannie obmyślana i przeprowadzona strona ilustracyjna. Przepyszne są zdjęcia zwierząt na wolności. Oprócz fotografij są i rysunki oryginalne, tegoż p. Wisznickiego, który ilustrował „Przygody wiewióreczki". Karykatury np. żubra w czasie siesty domowej, albo łosia w roli uwodziciela, są bez przesady niezrównane.

W. Z.



Józef Weyssenhoff o książce Stefana Badeniego: „Szczęśliwe dni"

Autor „Sobola i Panny" w odpowiedzi na przysłany mu egzemplarz „Szczęśliwych Dni", pisze między innemi:

Zabrałem się niezwłocznie do czytania książki, którą przewertowałem uważnie i radośnie. Jeżeli dla Pana są to wspomnienia szczęśliwe i realne, to we mnie zbudziły one również obrazy i nastroje umiłowane, tylko dawniejsze. Ale wspomnienia „Dni Szczęśliwych" zachowuję w sobie świeże i dlatego mogłem i dzisiaj odczuć całą prawdę i urok Pańskich wspomnień, bardzo podobnych do moich własnych, gdyż łowiectwo znam nie z literatury, lecz z długoletniej praktyki. Obrał Pan formę pamiętnika myśliwsko-strzeleckiego za ostatnie lat 10 ze wszystkiemi szczegółami dojazdów, zakładów i strzałów — i ten zamiar wykonany jest doskonale — przestrzega Pan pilnie czystości i wyrazistości mowy polskiej i zna dobrze terminologję łowiecką, które to rzadkie zalety wprowadzają utwór Pański na wysokie piątro literatury specjalnej. Czytelnik nie-myśliwy może odczuć Pana utwór mniej żarliwie z powodu braku fabuły ludzkiej (czego bynajmniej nie stawiam jako zarzut) — zato myśliwym daje Pan skarby wrażeń i nauk. Ja też nauczyłem się od Pana sporo o słonkach, na które polowałem rzadziej, niż na inne rodzaje zwierzyny krajowej... Przysłany egzemplarz położę między ulubione książki mej bibljoteki.

Korespondencje

Baszków, w grudniu 1929

Podczas tegorocznego sezonu myśliwskiego odbył się szereg polowań u księcia Olgierda Czartoryskiego w Baszkowie (Wielkopolska), na terenach łowieckich Baszków, Sielec i Granów. Korzystając z udzielonego przez Ministerstwo Rolnictwa pozwolenia, polowano na pędzone kuropatwy dwukrotnie, w miesiącach październiku i listopadzie, a na zające i koguty bażancie w ostatnich dniach listopada.

Ubito ogółem 1030 pędzonych kuropatw, 730 kogutów bażancich, 1920 zajęcy, 59 różnych, czyli razem 3739 sztuk. Mimo srogiej zeszłorocznej zimy, stan kuropatw był nad wyraz zadawalniający i wyższy niż w roku ubiegłym; to samo tyczy się bażantów. Natomiast stan zajęcy ucierpiał, mimo bardzo intensywnego żywienia i troskliwej opieki przez całą zimę i mimo sprowadzonej w roku 1927 znacznej ilości zajęcy z Czech (przyczem w roku 1928 nie polowano wogóle) ubito o kilka sztuk mniej niż na ostatniem polowaniu w roku 1927.

W polowaniach brali udział: Arcyks. Karol Albrecht i Leon, książę Pedro Orleans Braganza, książę Leopold Lobkowitz, margrabia Wielopolski, książę Roman Czartoryski, książę Adam Sapieha, hr. Alfred Potocki, Adam hr. Zamoyski, Adolf hr. Bniński, Konstanty hr. Bniński, Zygmunt Skórzewski, Aleksander hr. Skrzyński, Jan i Wiktor hr. Szołdrscy, Stanisław hr. Siemieński-Lewicki, Henryk hr. Grocholski, Jan hr. Plater Zyberk, książę Włodzimierz Czetwertyński, książę Henryk Woroniecki, książę Hieronim Radziwiłł, Andrzej hr. żółtowski, Władysław Leon hr. Zamoyski, Wicewojewoda Gronziewicz, p. St. Szczaniecki i t. d.

Rożyska 5 stycznia 1930

W dniach 13 i 14 listopada 1929, odbyło się polowanie w Rozhurczu i Łukawicy u Braci Barańskich.

Dziennie brano po dwa mioty. W czterech miotach padło: 15 dzików, 3 lisy, 1 sowa uralska. Dnia 14 listopada w miocie „Czerteż" padło 11 dzików. Między leżącemi na rozkładzie piętnastoma dzikami nie było ani jednego warchlaka, a upiększały go wydatnie dwa bardzo duże odyńce, jeden o wadze 220 kg, drugi 210 kg. Polowano w 11 strzelb.

Włodzimierz Grocholski



Z polowania w Rozhurczu

Z Oddziału Małop. Tow. Łowieckiego w Krakowie

O ochronie drobnej zwierzyny użytkowej

Ciąg dalszy

Sroki (wolno także chwytać) równie, jak wrony, szkodliwe dla drobnej zwierzyny użytkowej w lesie i w polu. Nader ostrożne, trudno dostępne dla odstrzału i dlatego tą drogą ginie ich znikoma część. Stosujemy więc do nich gdzie ich za dużo, te same radykalniejsze środki, jak do wron. Zwłaszcza surowe jaja kurze z domieszką odpowiedniego preparatu fosforowego przyczyniają się bardzo skutecznie do tępienia srok i wron na wiosnę, t. j. w czasie, w którym dla łowiectwa najbardziej są szkodliwe. Rozumie się, że do tego sposobu tępienia uzyskane być musi wpierw wzmiankowane już zezwolenie Mi-

nisterstwa Roln. wzgl. Województwa (obecnie Województwa). — Sposób przyrządzenia trutek następujący: Sam preparat fosforowy w płynie otrzymuje się gotowy w aptece (dwanaście gramów fosforu na ćwierć litry gliceryny z dodatkiem białej glinki dla lekkiego zagęszczenia). Jaja przekłuwa się szpilką na cieńszym końcu, zaś na grubszym robi się otwór trochę większy. Po wydmuchania cząstki białka zasklepia się mniejszy otwór rozpuszczonym woskiem pszczelnym, zaś przez większy otwór wpuszcza się z łyżeczki 8—10 kropel skłóconego preparatu. Następnie zatyka się otwór watą tak, ażeby końce włókienek pokrywały dokoła brzegi otworu, poczem także zatyczkę pokrywa się płynnym woskiem. Po zaschnięciu wosku i skłócenia jajka, trutka jest gotową do użytku.

Poza wyżej wymienionemi szkodnikami, mówi także ustawa łowiecka w art. 49 ust. 4 od końca ogólnie o „...innem ptactwie wodnem i błotnem", chronionem od 1 marca do 10 lipca, oraz w ustępie ostatnim o „ptakach krukowatych i drapieżnych...", chronionych od 1 lutego do 15 sierpnia k. r. Tak jednych jak i drugich nie wolno chwytać w żelaza, łapki i t. p.

Do pierwszej kategorji zaliczyć należy przedewszystkiem szkodliwe błotniaki stawowe, wyglądem zbliżone do sów, odznaczające się z pośród innych odmian brakiem białej plamy nad ogonem, gnieżdżące się na ziemi w gęstwinach, dalej szkodliwe czaple, bąki, łyski mewy, z których czapla siwa i mewa siwa, jako szkodniki także z ustawy rybackiej, mogą, jak to już wspomniano poprzednio, w myśl art. 41 ust. łow. być chwytane w paści.

Z pośród drugiej kategorji wymienimy dodatkowo z krukowatych (poza wroną i sroką) szkodliwego kruka, wrońca (czarnowrona) i gawrona, oraz z drapieżnych (poza jastrzębiem-gołębiarzem i krogulcem) sokoła wędrownego, raroga i kobuza, dalej należą tu szkodliwe kanie (królewska i czarna), także z ustawy rybackiej orzeł-bielik i orzeł-rybołów, któreto ostatnie, jakto już przedtem zaznaczono, w myśl art. 41 ust. łow. wolno również chwytać w żelaza etc.

Co dotyczy odstrzału powyższych ptaków, to odbywa się on w sposobnych przypadkach, także na zasiadce w pobliżu gniazda przy dobrem ukryciu (bacz poprzedni ustęp o jastrzębiu-gołębiarzu), dalej przez podchodzenie — oraz przy pomocy puhacza.

Wreszcie do szkodników, niszczących lęgi ptasie, możnaby jeszcze zaliczyć dzierzby, zwłaszcza drapieżną dzierzbę-srokacza, i czasami sojki. O ile jednak nie występują w większych ilościach, można je, ze względu na tępienie owadów i robaków, oszczędzać — tem więcej, że są one dla polowania bez osobliwego znaczenia.

Przy sposobności słów kilka o polowaniu z puhaczem. — Polowanie to ze strzelbą w ręku, bardzo zajmujące i wydatne, jest jednak za mało jeszcze docenione i praktykowane. Nietylko bowiem nastręcza myśliwemu urozmaiconą przyjemność polowania w ciągu całego roku, ale stanowi ono także dla straży łowieckiej trwałą podnietę do tępienia drapieżników. Również korzysta na tem sam puhacz, otrzymując ze zdobyczy swój trybut. Wszystkie drapieżne ptactwo, wrony, sroki etc. uderzają na puhacza z zapalczywością, a dla tem pewniejszego skutku przy częstszych polowaniach z nim i zmylenia czujności drapieżników, trzeba często także zmieniać placówki na kryjówkę na obszarze całego łowiska. Jeżeli możliwe, wykorzystać należy do tego celu skraje lasów z naturalnem dobrem ukryciem, a gdzie go niema, tam można je sobie sztucznie z gałęzi ewentualnie przy pomocy tasaka naprędce utworzyć. Niezależnie od tego możemy się także na otwartych zdala widocznych miejscach posługiwać na zasiadkę jedną lub więcej stałemi budkami albo też przenośną budką.

Rozpoczynając polowanie, sadza się puhacza na berle, t. j. słupku wetkniętym do ziemi, około 60 cm wysokim, z przytwierdzonem na wierzchu siadłem czyli poziomym drążkiem stałym lub ruchomym. Do berła przywiązany on jest za nogi na lince lub łańcuszku około 1½ m długim — tak, aby swobodnie mógł opuścić się na ziemię i bronić przed większym napastnikiem. Dla ochrony nóg najlepiej nałożyć na nie stałe szersze pęta z miękkiej skóry z naszytemi od tyłu kółkami do zaczepienia linki względnie łańcuszka.

W oddaleniu 20 — 30 kroków od puhacza, czatuje myśliwy w dobrem naturalnem lub sztucznem ukryciu. Za sztuczne ukrycie służy też budka ze zwykłej plecionki, zapuszczona częściowo w ziemię, najlepiej z oparciem o jaki pagórek, pochyłość i t. p. W braku naturalnego zakrycia od tyłu (krzaki, zarośla), zasłania się ją chróstem, resztę zaś ścianek nad ziemią wystających i daszek, zakrywa się ziemią, darnią, chróściem, sitowiem i t. p. W budce na wysokości odstrzału naprzeciw puhacza, winien być, możliwie od strony północnej, otwór z zasuwką a także po bokach małe otworki obserwacyjne, zaś od tyłu wejście a wewnątrz ewent. ławeczka do siedzenia. Przy zasiadce w zwykłym wykopanym dole ziemnym, wystarczy samo nakrycie sztuczne, przystosowane do otoczenia. C. d. n.)

Stanisław Morawetz
sekretarz

Komunikaty

W sprawie podatku od broni myśliwskiej

Redakcja „Łowca Polskiego" odkłada ogłoszenie wyników rozprawy w Najwyższym Trybunale Administracyjnym, odbytej w dniu 2 grudnia 1929 r., w sprawie podatku od broni myśliwskiej, wniesionej przez redaktora „Ł. P.", mec. W. Garczyńskiego, nie chcąc dopuścić się nieścisłości w oddaniu poglądów N. T. A. i czekając na otrzymanie wyroku na piśmie.

Wobec tego jednak, że niektóre magistraty przystąpiły już do wymierzania tego podatku, śpieszymy zakomunikować radosną dla świata łowieckiego wiadomość, że Najwyższy Trybunał Administracyjny w sprawie tej

wyraził pogląd, że broń myśliwska w ręku właścicieli lub dzierżawców terenów łowieckich nie może być uważana za przedmiot zbytku i że podatek od broni myśliwskiej, jako przedmiotu zbytku, może być nakładany jedynie na tych myśliwych, którzy nie będąc sami właścicielami lub dzierżawcami terenów łowieckich, polują jedynie na cudzych terenach, korzystając z zaproszeń. Pogląd ten jest wiążący dla władz.

Wobec tego powołując się na wyrok N. T. A. w tej sprawie (Nr. sprawy 1515/28), należy składać dowody, że się jest dzierżawcą lub właścicielem terenów łowieckich (członkowie Kółek winni złożyć legitymację członkowską i uwierzytelniony przez zarząd Kółka odpis umowy o dzierżawę terenów; może także Kółko samo przesłać magistratowi odpisy umów dzierżawionych przez nie terenów i spis swych członków) i na podstawie tego składać w terminie przepisanym rekursy, z żądaniem zwolnienia od podatku, a prócz tego, prośbę do magistratu o cofnięcie swego nakazu. Należy przytem nadmienić, że wyrok N. T. A. będzie złożony potem.

Po otrzymaniu wyroku N. T. A., będzie on niezwłocznie ogłoszony w „Łowcu Polskim" wraz z bardziej szczegółowemi instrukcjami, jak w wypadku nałożenia podatku postępować należy.

„Łowiec Polski" *W. Garczyński*

ROZPORZĄDZENIE

Wojewody Stanisławowskiego z dnia 28 grudnia 1929 r., o ustanowieniu czasów ochronnych dla zwierzyny łownej, obowiązujących w roku 1930.

Na podstawie art. 52 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej, z 3 grudnia 1927, o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110 p. 934) postanawiam co następuje:

§ 1

Rozszerzam czas ochronny:

a) na zające-szaraki od 15 stycznia do 31 października,

b) na sarny-kozły od 1 stycznia do 15 czerwca i od 1 października do 31 grudnia,

c) na kuropatwy od 1 stycznia do 15 września i od 1 listopada do 31 grudnia,

d) na dzikie kaczki od 1 marca do 20 lipca.

§ 2

Dla wszystkich innych gatunków zwierzyny obowiązuje normlny czas ochrony, ustanowiony w art. 49, powołanego wyżej rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej o prawie łowieckiem.

§ 3

Rozszerzenie czasu ochrony wymienione w § 1, **odnosi się do wszystkich powiatów Wojew. Stanisławowskiego.**

§ 4

Winni naruszenia przepisów niniejszego rozporządzenia będą karani w drodze administracyjnej na podstawie art. 77, Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z 3 grudnia 1927, o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110, poz. 934) grzywną do 500 zł. oraz aresztem do 6 tygodni.

§ 5

Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Równocześnie tracą moc obowiązującą rozporządzenia z 5 października 1928, w sprawie rozszerzenia czasu ochronnego na wszystką zwierzynę łowną na całym obszarze gminy Synowódzko wyżne, pow. Skole, Stanisł. Dzien. Wojew. Nr. 9, poz. 23, z 26 kwietnia 1929 w tej samej sprawie, dotyczące gminy Pasieczna, pow. Nadwórna. Stanisł. Dzien. Wojew. Nr. 7, poz. 78, z 15 października 1929, w tej samej sprawie, odnoszące się do gminy Strymba i Pniów, powiat Nadwórna, Stanisł. Dzien. Wojew. Nr. 16, poz. 134, z 21 listopada 1929, w tej samej sprawie, dotyczące gminy Lisowice, Wola Zaderewacka i Nadziejów, powiat Dolina, Stanisł. Dzien. Wojew. Nr. 19, poz. 154 i z 21 listopada 1929, w sprawie rozszerzenia czasu ochronnego na sarny-kozły na całym obszarze powiatu śniatyńskiego, Stanisł. Dzien. Wojew. Nr. 19, poz. 153.

Stanisławów, dnia 28 grudnia 1929

Koncewicz
wicewojewoda

ROZPORZĄDZENIE

Wojewody lwowskiego z dnia 6 grudnia 1929 roku, L. RL. 144/łow. o ustanowieniu czasów ochronnych dla zwierzyny łownej, obowiązujących w r. 1930.

Na podstawie art. 52 rozp. Prez. Rzpl. z 3 grudnia 1927 r. oprawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110 p. 934) postanawiam co następuje:

§ 1

Rozszerzam ustawowy czas ochronny:

a) na zające szaraki od 15 stycznia do 31 października,

b) na sarny-kozły od 1 października do 15 czerwca,

c) na kuropatwy od 1 listopada do 15 września.

§ 2

Dla wszystkich innych gatunków zwierzyny obowiązuje normalny czas ochrony ustanowiony w art. 49 powołanej ustawy.

§ 3

Rozszerzenie czasu ochrony wymienione w § 1 odnosi się do wszystkich powiatów Województwa lwowskiego.

§ 4

Przekroczenie postanowień niniejszego rozp. ulega ukaraniu w myśl przepisów rozp. Prezd. Rzeczp. z 3/XII 1927 r. o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110 p. 934).

§ 5

Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia w lwowskim dzienniku Wojewódzkim.

Wojewoda
Gołuchowski wr.

1930

Z okazji, że mroźny zawitał Rok Nowy,
DMYTRACH — sługa Łowców — życzy Im ponowy!
By każdy mógł tropem pójść w barłóg odyńca
I tak doń strzelił, iżby machnął młyńca...
— Tak pada zwierz z broni na punkt ostrzelanej
Przy amunicji starannie dobranej —
To już rzecz DMYTRACHA, jemu to powierzyć,
A zwierz w ogniu zginie — byle dobrze zmierzyć.
Kto posłucha tej rady, ten się nie zawiedzie:
Będzie z dymem rulował dziki i niedźwiedzie!...
LEGJONÓW 3.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32